Nr. 13 We Lwowie dnia 30. marca 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Syrokomla o sobie.*)

Dziełko pod wyżej wymienionym tytułem jest pierwszą próbą oddania na własność ogółu spuścizny literackiej, jaką nadniemeński lirnik pozostawił w rozległej swej korespondencji prywatnej. Mieści ono mianowicie wiązankę listów Syrokomli, dla których za misterną oprawę służą komentarze pióra p. Wł R Korotyńskiego, dorosłe do rozmiarów poważnego studjum.

Korespondencja prywatna, w której poeta ukazuje się oczom czytelnika nie w królewskiej purpurze twórczego natchnienia, jak to ma miejsce w utworach do druku przeznaczonych, lecz w powszedniej, codziennej szacie, — to najcenniejszy może z dokumentów ludzkich. W poufnej rozmowie na odległość, kiedy toku myśli nie przerywają wrażenia zewnętrzne, uczuć nie płoszy dźwięk własnego głosu, niezawsze ustrzec mogą swych tajemnic nawet na siedm pieczęci milczenia zamykające się dusze a ludzie o wyobraźni czujnej i płomiennej, o sercu dźwięczącem, jak harfa, pod najlżejszym powiewem wrażenia, wypowiadają się do dna, spowiadają ze wszystkiego, co ich boli lub cieszy, co zadrga im w piersi, lub przez myśl przeleci.

Taki właśnie charakter szczerej spowiedzi posiadają listy Syrokomli, ogłoszone w omawianem wydawnictwie. Wychyla się ku nam z ich głębi oblicze poety, jak żywe, czasem — w początkach zwłaszcza — rozjaśnione humorem, to znowu bez granic smutne, lub — jak sam mówi — »w masce zbolenia na głucho przyrosłej«, lecz zawsze wzniosłe i piękne, godne hardego lirnika, co przed nikim nie zniżał »ani pieśni, ni głowy«.

Syrokomla nie porusza w listach głębszych zagadnień filozoficznej lub etycznej natury, jak to czynić zwykli Krasiński i Żmichowska, nie olśniewa, jak Słowacki, przepychem stylu. Językiem pełnym prostoty, — którym zresztą i sam Mickiewicz nie gardził w korespondencji z bliskimi, — opowiada o bieżącej rzeczywistości, — a więc o spółczesnym ruchu umysłowym na Litwie, którego on sam *magna pars fuit*, o przyjaciołach i znajomych, ciesząc się lub martwiąc ich losem, — o własnej nareszcie osobie.

Pierwiastek subjektywy, silnie występujący w listach, nadaje im niezwykłą wartość biograficzną. W pierwszym zaraz liście do A. Marcinkowskiego (Alberta Gryfa), znajdujemy coś nawet w rodzaju krótkiej, z żartobliwą werwą skreślonej autobiografji. »Uczyłem się czytać na złotym ołtarzyku — opowiada autor szkolnych czasów Dęboroga — a w szóstym roku już na szmaty podarłem dziesięć tomów dzieł Krasickiego, czytając je gorliwie, tak gorliwie, że już wtedy zapamiętałem ważniejsze djalogi Lucjana i ważniejszych bohaterów Plutarcha«.

Samouctwo i w dalszym biegu życia miało być wyłączną niemal mistrzynią poety, jak o tem świadczą własne jego słowa. »Patent na mądrość«, — czyli świadectwo, otrzymane po kilkuletniej, jedynej systematycznej nauce u Dominikanów i w powiatowej szkole — opiewał pilność małą przy zdolnościach dobrych, »nie iżbym naprawdę był hultajem – tłumaczy — bo pracowałem wciąż nad ukształceniem mózgowni, ale pracowałem swobodnie i nie wedle tych reguł, jakiemi łeb mój okować chciano«. Mówiąc

*) Syrokomla o sobie. Przepisał i objaśnił Wł. R. Korotyński. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i Ski. 1896.

o charakterze swoim, nazywa go »powolnym, rozważnym, nieśmiałym, słabym«, a zarazem »upartym« wskutek »niepodległości umysłu« i »niewiary we wszelką powagę«. Co do strony uczuciowej, wyznaje, że natura dała mu »serce miękkie«, zdolne do odczuwania radości i klęsk ogólnych, a w stosunku do płci nadobnej »kochliwe«, pod warunkiem wszelako, aby »piękno ciała łączyło się z pięknem ducha, bez którego niemasz nawet piękności zewnętrznej«. — Charakterystykę swoją uzupełnia nareszcie słówkiem o przymiotach zewnętrznych, a zaznaczając, że nie posiada »ani urody uderzającej, ani blasku wymowy« przypisuje »maleńkie powodzenia«, jakie osiągał w miłości, »potędze uczucia prawdziwego, którą można zhołdować serce czyste«.

Tak się przedstawia — w świetle swoich słów, autor przedziwnych »Gawęd« i przyznać trzeba, że chyba żaden z portretów własnych, jakie pozostały po sławnych i mniej sławnych ludziach, nie przewyższa skromnością wizerunku, skreślonego przez wielkiego poetę.

List autobiograficzny do Marcinkowskiego służy jakby za wstęp do korespondencji z Janem Chęcińskim, stanowiącej właściwy cel książki.

Nić serdecznej przyjaźni nawiązała się między Chęcińskim a Syrokomlą podczas dwukrotnej bytności tego ostatniego w Warszawie w latach 1856 i 57. Był to najpogodniejszy może okres w życiu autora »Melodji z domu obłąkanych«, tak obfitem w cierpienia, że o palmę pierwszeństwa w tym kierunku miałby on prawo ubiegać się z poetami całego świata. Warszawa witała go wówczas hucznie, toastowo, serdecznie. Koledzy po piórze i mecenasowie literatury wydawali uczty na jego cześć, Deotyma składała mu hołdy w improwizacji, Tytus Maleszewski uwiecznił pendzlem jego rysy, które wówczas jaśniały potęgą ducha i pełnią rozkwitu sił fizycznych Poeta, łaknący głodnem sercem miłości ludzkiej, czuł się szczęśliwym w tej ciepłej atmosferze, i wywdzięczał się za objawy życzliwości tem, w co zawsze był bogaty: szczerem złotem uczucia i poezji. Z okolicznościowych utworów, jakie powstały pod wrażeniem owych chwil, zasługuje na uwagę wierszyk, ofiarowany Maleszewskiemu za portret, jako będący również swego rodzaju konterfektem. Końcowa jego zwrotka brzmi, jak następuje:

...Cóż ci żegnając twój model doda?
Niech się w pamięci twojej zachowa
To, coś malował: czoło, nos, broda,
Dłoń, co cię bratnio ścisnąć gotowa,
Szara kapota, spięta pod szyję
I proste serce, co pod nią bije.

Względną pogodę, jaka panowała wówczas w świecie wewnętrznym poety, znać i w pierwszych listach do Chęcińskiego. Ale niebawem horyzont ściemnia się chmurami, które miały zgasić słońce jego życia wpierw, nim dobiegło południa, — zgasić nie groźną burzą wielkiej jakiejś katastrofy, lecz długotrwałą słotą cierpień. »Co też ja mam ciosów do zniesienia, boleści do odcierpienia, tortur prawdziwych na tym padole, — trudno ci opisać — skarży się w parę miesięcy po powtórnej bytności w Warszawie. — W chorem sercu, w zbolałej głowie taki bezład, że niepodobna mi zażyć najskuteczniejszego na cierpienia ducha lekarstwa — pracy«.

Nieszczęścia, o których mówią, że zwykły chodzić w parze, opadły teraz poetę drapieżnem stadem. Nędza materjalna, spowodowana zależnością od lichwiarzy, a tem dotkliwsza, że »dziewiętnaście głodnych gąb« wyglądało »drogiego« chleba z jego ręki, zmusza go do rzemieślniczej pracy, jego, co wówczas właśnie stanął na wyżynach artystycznej twórczości; bracia-ludzie, dla których miał zawsze serce miłości pełne, bluzgają na dobre jego imię błotem oszczerstwa; cierpienia fizyczne nurtują organizm, zmniejszając jego odporność na wpływy zewnętrzne, a dla wypełnienia czary po brzegi krytyka wsącza w nią swój jad trujący.

I raz w raz płacze żałośnie w listach struna bezdennego bólu. „Sto razy na dzień rwąc włosy, pytam siebie, czy już doprawdy na nic nikomu nie jestem potrzebny?“ — wybucha poeta, mówiąc o zawodnej zmienności ludzi, a w innem miejscu, skarżąc się na beznadziejny stan zdrowia, kończy znamiennemi słowy: „Grób mi tylko pozostaje. Przynajmniej po śmierci niech go błotem nie obrzucają; społeczeństwu i przyjaciołom służyłem, jak mogłem; winy (jeżeli nazwać je winami) leżą na mnie, karę, aż nadto srogą, sam w sobie odnoszę, ale grzechów społecznych nie mam i nie zasługuję na to, aby mię traktowano, jak trupa. Warjuję!“

Na ponure tło pada jeszcze niekiedy smuga świetlana. Znękana dusza Syrokomli ożywia się pod ciepłem tchnieniem przyjaźni, raduje sympatją, z jaką szeroki ogół wita jego sztuki na scenie, ale po chwili wytchnienia zła dola tem głębiej zapuszcza szpony w swoją ofiarę. Srogie cierpienia sprawiają mu zwłaszcza ciosy, godzące w to, co dla poety najdroższe, w skrzydlate dziecię jego ducha, w pieśń, która dzwoni na jego „lirze z czarodziejskiego drewna“. — „Lekceważące a zawsze stronne zdania krytyków waszych o pracach, które kosztowały kilka miesięcy czasu i kilka funtów krwi z pod serca, o rozpacz mię przyprawiają — pisze w jednym z listów. — Biorę się za głowę, za serce i przekonywam się, że pomimo cierpień przebytych, jeszcze jestem ten sam, co dawniej. Czego chcą odemnie — nie pojmuję!“ — A w innem miejscu użala się najsmutniejszą skargą, jaka wyjść może z ust autora: „Ręka mi odrętwiała, pióro z ręki wypadło. Powiedziałem sobie: niech raczej dzieci głód cierpią, niż mam być codzień chłostany od ulicznego pismaka... Może i mia-

łem kiedy talent, alem czy przez moją winę, czy przez niedolę utracił; nie wart jestem stać u ołtarza sztuki i śpiewać Hosannah! Umilkłem! Jak zobaczysz którego z krytyków waszych, to mu powiedz, że dopięli celu, że mnie z niwy spędzili“.

Ani w jęku nie drga nuta krwawszego bólu, jak w tej napozór spokojnej rezygnacji. Na szczęście, nie wszystko, co mówił, było prawdą. Nie umilkł! Potężny duch jego nie dał się zmiażdżyć wrogim warunkom.

Zawiedziony w najświętszych uczuciach, przykuty do łoża srogich cierpień fizycznych, w nędzy, dochodzącej ostatecznych granic, snuł dalej cudne melodje dni ostatnich, którym późniejsza krytyka oddaje należny hołd, podnosząc, że „słowo nagina się tu do myśli z chyżością ptaka, z wyrazistością rzeźby i barwnością malowidła“. Z ohydnej jaskini żydowskiej, z której wybrnąć nie mógł, bo winien był jej właścicielowi „i komorne i sumę rękodajną“, leciała w słoneczne światy pieśń cierpiącego nędzarza, aby bogacić miljony, aby posażyć cały naród. W mękach przedśmiertnych dyktował jeszcze ową niedokończoną powiastkę: Dwa obrazy, aż »skonał, grając na lirze«, jak bohater przedziwnej jego sielanki. A gdy nie zawodząca nigdy koicielka rozpaczy ludzkich, śmierć, położyła kres i jego cierpieniom, wówczas ofiarowano mu z rozrzutną hojnością to wszystko, czego tak gorąco a nadaremnie pragnął za życia: uznanie, chleb dla dzieci, sławę, miłość. Ale spóźnione zadosyćuczynienie sprawiedliwości nie osłabia wrażenia listów poety. Smutniejsze od żałobnych cyprysów, ocieniających groby — zapadają one w serce niewysłowionym żalem...

M. Wysłouchowa.

Ze sztuki.

Jeśliby nazwy rozmaitych kierunków społecznych wolno było zastosować do metody krytycznej w sztuce, odrazu oświadczyłbym się za anarchistyczną.

Bo pominąwszy już kwestję osobistej przyjemności, którą piszący tylko wtedy odczuwa, jeśli pisze, kiedy mu się chce pisać, a nie kiedy musi, lub kiedy wypada, aby napisał, metoda przeniesiona żywcem z dziennikarskiej reporterji do krytyki, metoda regestrowania bez wyboru talentów i obrazów wyrządza z jednej strony nieraz krzywdę samodzielnym, zwłaszcza młodym talentom artystycznym, z drugiej — samej krytyce.

Krytyk bowiem tego pokroju nie zajmuje się zazwyczaj, bo nie ma czasu zajmować się malarzami, których pretensje artystyczne nie zasadzają się na zasmarowywaniu jak największej ilości płócien, lub którzy w inny jakiś sposób nie zdołali się polecić uwadze publiczności. Z drugiej strony krytyk taki, dostrajając rozmiary swoich recenzji do tego, o ile artysta jest w modzie dla dopełnienia pewnej ilości wierszy, zwłaszcza jeśli obraz do niego niczem nie przemawia, fabrykuje tak powszedne, a tak nieznośne, ckliwe fantazjowania na temat treści obrazu lub pisze artykuły o sztuce, mające, prócz pogrzebowego nastroju, jaki wywołują w czytelniku, to wspólnego z nekrologami, że zaczynają się od sakramentalnego: „Artysta urodził się w roku... i t. d“.

Będąc zaś krytykiem anarchistą, jest się w położeniu o wiele lepszem. Przechodzę n. p. salonami lwowskiej wystawy sztuk pięknych, mijam obojętnie starych i młodych, więcej, mniej lub najmniej głośnych, jeśli ich utwory nie wywołują we mnie oryginalnego, odrębnego wrażenia artystycznego. Wtem n. p. spostrzegam jeden, drugi, dziesiąty, jedynasty, obraz, obrazek, studjum, widocznie jedną i tą samą ręką kobiecą malowane, uderzają mnie w nich pewne rysy, odczytuję na wszystkich podpis: „Aniela Pająkówna“ i myślę sobie: »Przecież w tych wszystkich obrazach jest coś, co około nich obojętnie przejść nie pozwala, przecież talent artystki nie jest wyrazem bez dźwięku«. I jeśli mi się uda w słowa zamknąć wrażenie, jakiegom doznał — recenzja gotowa.

Aniela Pająkówna nie od teraz jest znaną lwowskiej publiczności, ale taką, jak jest dziś, jeszcze znaną nie była. Ostatnia bowiem podróż artystyczna, którą miała niedawno odbyć, na jej talencie pozostawiła tak silne ślady, że jeśliby się dawne obrazy artystki zestawiło z nowymi, zaledwieby się poznało, że jedna i ta sama ręka je malowała.

Dawniej dość często widywano utwory Pająkównej na wystawie lwowskiej, publiczność nawet chętnie przed niemi stawała, bo przy widocznych brakach rysunkowych, przy aż nazbyt jednostajnym kolorycie, był w nich jakiś „guścik“, schlebiający upodobaniom publiczności, guścik, który, przyznam się, mnie do niej zrażał. Artystka n. p. brała sobie na model, to co nazywamy zwykle „ładnym buziakiem“, obdarzonym t. zw. »głębokiemi« oczami, których efekt wzmacniała zatapiając pół twarzy w sztucznych jakichś popielatawych cieniach. Ta sama historja powtarzała się bardzo często.

Dziś zupełnie co innego. Dziś przedewszystkiem rysunek artystki można śmiało nazwać poprawnym, koloryt ożywił się, nie jest już dla wszystkich twarzy i wszystkich oświetleń jednakowym, ale jak w naturze, dostraja się do fizycznych warunków.

W metodzie malowania uderza dziś czasami pewna mglistość i niemal zawsze skłonność do nakładania plam barwnych, niełączących się zupełnie na płótnie, a mających się w oku dopiero zlać w pewien określony ton barwny. W tem mógłby ktoś upatrywać wpływ nowomodnych kierunków, ja wolę poprostu widzieć usilne, gorączkowe czasami dążenie ku naturze, zwłaszcza, że u Pająkównej idzie przytem umiarkowanie z umotywowaniem świetlnem w parze.

To właśnie usiłowanie pochwycenia natury należy postawić na czele przymiotów malarskich Pająkówny, a jest to przymiot tem cenniejszy, im rzadszy. Dążenie to dziś nie ogranicza się do pewnych ulubionych motywów, lub efektów, lecz owszem, szuka chętnie tego, co wychyla się poza szablon powszedniości w naturze; jak gdyby artystka dobrze wiedziała, że taka ekscentryczność, choć niezawsze popłaca, bywa jednak dla talentu dobrą też prezerwatywą przed szablonowością. Poprę to przykładem: Uwagę moją zwróciło może bardziej, niż inne, studjum, które zapewne nikomu z widzów się nie podobało, które kto wie, czy nie obdarzono epitetem „niesmacznego“ lub t. p.

Jest to postać kobieca, o twarzy nieładnej, do pół obnażona i rękami podniesionemi podtrzymująca gęste rude włosy. Jeśli artystka sama sobie model dobierała, to jej zapewne chodziło o oddanie tej dziwnej nienaturalnej barwy ciała, przypominającej białą masę perłową, a odnaczającej często rudych. Przez takie wyłamywanie się na skrajnościach, zaobserwowanych w naturze, przyzwyczaja się artysta postaciom swoim dawać koloryt ciała ten, jaki jest w rzeczywistości, a nie ten,jaki na pojęcie ogólne: »barwy ludzkiego ciała« wyobraźnia artystyczna sobie wytworzyła.

Że te usiłowania u Pająkównej wbrew dawnej manierze, dały dobry skutek, na to są świadectwem inne studja, jak np. przedstawiające typ Włoszki, dobre ponadto w wyrazie: mężczyzny o Chrystusowej twarzy, »Chłopiec służący do mszy« i najlepszy ze wszystkich »Druciarczyk«, na którym najdokładniej można zaobserwować wszystkie właściwości talentu Pająkówny w dzisiejszym stanie rozwoju.

Czy Pająkówna w krajobrazie i w kompozycji w szerszem słowa znaczeniu, z równą swobodą by się obracała, o tem nie mamy prawa dopóty mówić, dopóki coś podobnego z jej pracowni na wystawie się nie okaże. Na razie to stwierdzić można, że w portrecie artystka może, jeśli zechce, zająć tu odrębne stanowisko.

Portrety jej i portreciki, których na wystawę nadesłała kilka, a wśród których z rozmiarów i wykończenia pierwsze miejsce należy się portretowi panny P., mają jedną wspólną cechę. Dalekie są od silenia się na fotograficzną drobiazgowość (co możnaby uważać za właściwość niecodzienną u kobiety), niema też w nich tego męczącego zaciekania się w rysy i wyraz twarzy, cechującego portrecistów, bez portretowego talentu, którzy jednak pamiętają o tem, co w ostatnich zwłaszcza czasach na temat portretu napisano. Portrety Pająkówny robią takie wrażenie, jakby artystka wygląd portretowanego, ruchy, wyraz twarzy, nawet charakterystyczne cechy ubrania, sumowała w umyśle razem, wyprowadzała z nich, matematycznego języka używając, »przeciętną«, a poprostu powiedziawszy: ogólne wrażenie całości i potem, nie zapuszczając się w szczegóły, starała się o oddanie tego »wrażenia«. Sposób taki naraża na wiele błędów i pomyłek, ale ma jedną zaletę, że daje portrety łatwo zrozumiałe, że łatwo osiąga zamierzony nastrój. Widzom najłatwiej zaobserwować tę właściwość na portrecie kogoś powszechnie znanego, jak n. p. wystawiony obecnie we Lwowie portret posła Wójcika, choć jest to praca niezupełnie wykończona.

Kończąc tę sylwetkę, czyżbym i ja był obowiązany dać ową »przeciętną« z krytycznego portretu artystki? Łatwo tego dokonać, składa się na nią to, co powyżej napisałem, a co daje do pewnego stopnia anomalję. Bo zwykle u artystów wielkie pragnienia łączą się z małą skromnością i talenta padają tylko dlatego nieraz, jak człowiek, co się uwziął opierać na zbyt krótkiej lasce. Z obrazów zaś Pająkównej przebijają się wielkie pragnienia, które jednak wielką skromność za towarzyszkę mają.

Jan Zgoda.

DROGI DÓŁ.

(Z cyklu poezji prozą: Łzy i uśmiechy).

[Ciąg dalszy].

Marta podniosła swe piękne, czarne, dzikie, stepowe oczy i w sam czas spotkała wzruszony wzrok Hryńka. Czy Hryńko wzruszony był jej żałobą, czy rozszlochanym buziakiem dziecka, które poraz pierwszy pogrzeb widziało, czy tem, że się czuł w swoich stronach, widział znane zdawna domostwa, ludzi, drogę, wierzbę cmentarną u wrót, dawne zwyczaje, dość że był zdolny, pod wrażeniem, oddać swe serce byle komu, i to zaraz, tak mu się dusza wywnętrzała jakoś, tak pragnął się osiedlić rodzinnie i przykuć do kochanego gruntu.

Jeśli go tam ktoś umyślnie zaciągnął, to zręcznym był dyplomatą, bo przy wszelkich uroczystościach wesołych czy smutnych, miękła Hryńkowa dusza, jako wosk, który nieraz ludzie ugnietli, jak im było dogodnie i korzystnie, ze szkodą lub bólem wrażliwego kozaka.

Zabrano go i na stypę, trwało to ze trzy dni; niby nie miała się gdzie podziać Marta, bo brat mężowski wypowiedział jej najmowane dotąd pół chaty, nibyto miała wędrować w świat, *z detyną*, *het*, *bidneńka sierota*... popłakiwała, a gorącem spojrzeniem z poza łez zdobywała sobie Hryńka i jego chałupę, wcale porządną, i jego dwa morgi w jednym kawałku; a chłop do roboty sprawny, fabryki w okolicy są, zarobek będzie miał, i lepiej jej się powiedzie, niż ze sknerą Pustackim, niż z zawadjaką Buńczukiem. Hryńko o dawnym postrzale zapomniał, czuł jeno, że trafiła do niego ta krasawica, rozkochał się okrutnie i spieszył do ożenienia. Wszystko w mig poszło.

W miesiąc, młoda para siedziała już w chałupie, a mało Hanka bawiła się w piasku i wyprawiała krzyki, bo oddziedziczyła po ojcu buńczuczną naturę. Hryńko rozpływał się w szczęściu, miał oto żonę z pięknemi czarnemi kosami, gospodynię bardzo zabiegliwą, a i śmiech drobnej dziewczyniny mile mu duszę łaskotał. Zdawało mu się, że to raj, a gdy im jeszcze przybył mały Hryniczek, nie miał słów i westchnień dość na podziękę Panu Bogu, żonie, doli swojej, światu całemu. Pracował, harował, w dzień w fabryce, w noc z furmanką; woził buraki do cukrowni w Czarnominie, jeździł z handlarzami na jarmarki do Kodmy, woził panów na sądy do Olgopola; z wiosną, latem, szedł do orki, z kosą, z sierpem; zimą snuł się koło maszyn i kotłów w fabryce, zarabiał siekierą lub piłą; chętnie go brano tu i tam, dobrze płacono, bo zręczny był i pewny, a gdy cięższe przyszły czasy i o robotę trudniej było, to szedł nawet do naganki na polowaniach zimowych. Oj, ta naganka! marnotrawstwo sił za marny grosz.

Mijały lata. Zarobek Hryńka tonął w skrzynkach żony, która stroiła się, jak opętana i latała po weselach, muzykach i stypach. Topniał pieniądz potrzebny na ratunek chaty, dach mchem porastał, ściany butwiały, komin się walił, ale Marta nosiła na szyji korale, prawdziwe korale, jedwabne chustki na głowie, a boso nikt jej nie widział nawet w izbie. Jej dziewucha też nabierała upodobania do szmat, i wystrzępiona siadała na płocie, jak kraska, cienkim piskiem, jak sroka, zwołując sąsiednie dzieci, aby się na nią gapiły. Ale za to mały Hryńko, obdarty i brudny, oddawna nie miał już jednego oka, bo kiedyś, gdy Marty w domu nie było, a Hanka rozśpiewała się na płocie, dwuletni dzieciak spadł z łóżka, rozbił się strasznie i oko lewe wypłynęło. Plątał się mizeraczek koło domu, póki był maleńki, starszego już pędzała Marta do roboty. Dziesięcioletni pasał krowy, póki były, czyścił oborę, rąbał drzewo, nosił wodę i uganiał dzień cały to tu, to tam. Sąsiadki, które nie lubiły Marty za jej piękne korale, chustki i trzewiki, a może i za czarne kosy, dzikie oczy, i za to, że jakoś czasu na niej znać nie było, drażniły ją szepcząc:

— Boże odpuść... ten Hryńczak! takie to chuderlawe... a jednak on dziedzic! boć chata jego własność! a jakże... ma prawo... po ojcu... z dziada i pradziada..

Marta ruszała ramionami na takie gadanie; nie lubiła chłopaka, psuł jej różne zamiary i wyrachowania, wątpiła zawsze, żeby dziecko takiego Hryńka się uchowało. Bo ten »stary Hryńko«, jak go nazywała, coraz był mizerniejszy i podupadał na zdrowiu. Nadmierna praca zrywała siły, a żałość dusiła wewnątrz. On się czego innego spodziewał od tej kobiety. Z nieszczęścia ją wyrwał wraz z dzieckiem, dał jej serce, chatę, swoją krwawą robotę, wszystko, — wszystko co miał, a ona mu za to nie dała nic, ani serca, ani dobrego gospodarowania, bo dla siebie i swej dziewczyny garnęła, co było, ani starań o niego, ani nawet dobrego słowa, ani miłości dla ich dziecka, przynajmniej; zimna a wciąż krasna, dręczyła go ciągłym żalem, coby to być mogło, a co jest! Nie umiał on po stopniach wrażeń, uczuć, buntów, walki i rezygnacji dójść do filozoficznego wyniku: vanitas! lecz czuł prostem, kozaczem sercem — że źle trafił, że mu źle było i źle będzie; więc szedł naprzód w życie już bez nadzieji, bez dalszej szczęścia pewności, jak po omacku, pod bezustanną naganką smutnych myśli, które mu, jak kruki, krakały w głowie coraz boleśniej...

Kudy pidu, powernusia, no znaju radosty,
Jedno samo w oczach ślozy, a w serciu żałosty, oh!

Lata szły i zdrowie szło, a czasy przychodziły coraz cięższe. Zbiednieli Hryńkowie. Dla ostatniej krowy zabrakło paszy, więc ją sprzedano, choć Marta uparcie korale na piersiach kołysała.

— Potrzebniejsza krowa, niż korale, — zauważył raz Hryńko.

— At! — uraziła się kobieta — póki u mnie korale na szyji, póty ludzie mnie widzą i mleka pożyczą, a tak — pomyślą, że już po nas, i odwrócą się!

— No, ale krowa w domu będzie... lepsze mleko od swojej krowy, niż pożyczane od ludzi... i tak go nie dają...

Marty już w izbie nie było, chłop westchnął, bo pomimo rozumowań żony, mleka nie miał w ustach ze trzy dni. W chałupie paliło się też tylko z jednej strony, tam gdzie komin, gdzie spały — one obie, a tam gdzie sypiali — oni obaj, było zimno jak w psiarni. Tapczan pod ścianą, słomą zasłany, służył za miejsce spoczynku dla ojca i syna, kożuchem przykrywali się we dwóch. Chłopczyna czekał, w słomie wtulony, aż ojciec w kożuchu wróci i legnie przy nim; wtedy wsuwał nożyny w rękaw i tulił się do rodzica, który wśród zgryzot miał tę jedyną pociechę, że dzieciak go kochał namiętnie, z uniesieniem go ściskał i całował, gdy po dniu robocizny wracał w domowe progi.

I przyszła w końcu zima tak ciężka, tak sypiąca śniegi wysoko, taka zawzięta, że stara chałupa skrzypiała od mrozu, padały krople z pułapu na klepisko, a rankiem drzwi ani rusz otworzyć, bo zawalone były śniegiem do połowy prawie. Wypalały się siły Hryńkowe, po kościach szedł mu jakiś przykry mróz, jakby w żyłach ścinała się krew. Chodził jeszcze w grudniu na robotę, na zarobek, ale coraz rzadziej. W Wilję przyszli po niego sąsiedzi:

— A co? pójdziecie z nami na nagankę? wigilijne polowanie, dobrze panowie zapłacą.

Poszedł. O dziewiątej wieczorem wrócił dopiero do domu, bo z lasu była dobra mila. Żona czekała nań niecierpliwie.

— Ile? — przywitała go krótko — węzłowato.

— Rubel. — Dał jej w rękę, prosił o coś ciepłego, gorącego, zaraz! Przyniosła mu żuru, napił się, i legł, i już nie wstał więcej.

Dawny postrzał odezwał się groźnie, naderwanie sił po wąwozach, wertepach za zwierzyną, szarpnęło organizmem, spocony, mokry, ledwie ciągnąc nogi za sobą, z powrotem skostniał na mrozie. Ogień wewnętrzny palił, zimno trzęsło. Jęczał po nocach, rzucał się.

— Ojciec! co wam? — pytał wystraszony chłopczyna.

— Nic, *detyno*, nic, trzęsie i pali...

Tak przeleżał styczeń i luty. Wreszcie zelżało na dworze, w izbie zrobiło się cieplej, bywały dni słoneczne, a wróble ćwierkać zaczęły nad okienkiem.

— Ojciec! wiosna będzie! — szeptał mały Hryńko, kołysząc w rękach pieszczotliwie bezwładną głowę rodzica.

— Niedoczekanie... — westchnął chory; blademi usty przemk ęła stara zwrotka dumki:

Smutnyj idu, ne wesełyj, bidnyj czołowik...

Marta chodziła teraz na robotę, mrucząc na złe czasy. Rada nie rada, korale zastawić musiała, aby wyżywić ich czworo. Przędła, skóbała pierze, chodziła do prania, do cięższej roboty nie chciało jej się nagiąć, a byłaby zarobiła więcej. Dziewczynę przezimowano wprawdzie we dworze, za obsługę w pokojach, dostawała pożywienie, ubranie i trochę grosza uzbierała. Ale z wiosną, Hanka się zanadto rozśpiewywała i stroiła, nie można się jej było dowołać, zauważono więc, że jej bezpieczniej będzie w chałupie, pod okiem matki, przy prawdziwej robocie. Krzywiła się wróciwszy, krasna dziewczyna na wszystko w chałupie; złe jej było jedzenie, spanie, powietrze, brak ludzi, i ciągły widok chorego. Musiała jednak w końcu pomagać matce, bo sąsiedzi na nią krzyczeli, że próżniak i nie warta łyżki barszczu.

Aż wreszcie, zima odeszła, zostawiając godną siebie zastępczynię — wiosnę, budzącą bezpłodne kwiaty, mnożącą roje owadów, wiosnę o suchem, zimnem tchnieniu. Poprostu nie było co jeść; zapasy wyczerpały się zimą, nowego nie było nic, a ceny rosły z dniem każdym. Ludzie w polu snęli po robocie, przeczekując w ten sposób godziny posiłku, niepokój opanowywał wioski, rozpaczne pomruki krążyły między ludem, nędza rozgoryczała umysły, głód pożerał zdrowie, siły i lepsze moralne pierwiastki; latały dziwne wieści bajeczne o sumach »miłościwie« przeznaczonych dla biedaków, pełzały czarne podejrzenia na tych, którzy właśnie sami przechodząc kryzysa gospodarcze, sypali ziarno w wory nędzarzy. Chaotyczna, nieprawidłowa wiosna wprowadzała niemoc w ludzkie ciała, zamęt w ludzkie głowy, nienawiść w serca. Ciężkie były, złe czasy...

Hryńko gasł z dnia na dzień.

— Marta! — zawołał raz z wieczora zniecierpliwiony długą, marudną swą chorobą.

— A co tam? — pytała z proga, z pośpiechem.

— Źle ze mną... pamiętaj ty, Marta o chłopcu... jak mnie nie stanie...

— Nie umrzesz jeszcze...

— Dosyć mam już... chcę spocząć... dziś, jutro...

— Taraz... właśnie! — mruknęła.

Zrozumiał odrazu, o co jej chodziło. U tych ludzi niema czasu na subtelizowanie uczuć, różniczkowanie wrażeń, lubowanie się — gorzką rozkoszą, lub drażnienie — słodkiem cierpieniem; oni nie mają czasu na te wszystkie zbytki psychologiczne; czują to, co jest i koniec, idą wprost do rzeczy, bo zawsze coś pilniejszego czeka, robota lub nędza, które nie znoszą zwłoki. To też Hryńko przystąpił odrazu do rzeczy.

D. c. n. *Szczęsna.*

Walka o naukę religji w szkołach londyńskich.

Anglja, przodująca ludzkości na polu wolnomyślnych urządzeń, przechodzi obecnie w sprawie wychowania publicznego ciekawe bardzo przesilenie. Idzie mianowicie o to, czy stołeczne szkoły ludowe, któremi zarządza tak zwany School Board — coś w rodzaju dozoru lub rady szkolnej — mają zachować i nadal bezwyznaniowy swój charakter, czy też zmienić się na instytucje, służące interesom poszczególnych społeczności religijnych.

Na mocy ustawy szkolnej z r. 1871 nauka religji w publicznych szkołach ludowych w Londynie straciła zupełnie cechę wyznaniowości, polega ona na czytaniu biblji, przyczem nauczycielowi wolno poszczególne objaśniać ustępy, w ten atoli sposób, ażeby objaśnienia jego nie sprzeci-

wiały się zadnemu z istniejących w Anglji wyznań. Jest to właściwie nauka moralności, a do tego nie obowiązkowa; na mocy tzw. »Klauzuli sumienia«, wciągniętej do rozporządzeń wzmiankowanej ustawy, mają rodzice co do posyłania dzieci na tego rodzaju wykład najzupełniejszą swobodę.

Można sobie wyobrazić, że i w postępowej Anglji stosunki podobne nie spotkały się z powszechnem zadowoleniem: zwłaszcza katolicy i żydzi widzieli w ustawie tej zagrożenie swych interesów wyznaniowych i dla tego nie przestawali jaknajenergiczniej przeciw niej protestować. Ale i żywioły wolnomyślne nie zaliczają się do jej bezwzględnych zwolenników, domagając się, ażeby w publicznych szkołach ludowych panowała w sprawach wiary całkowita neutralność. Pomimo opozycji, objawiającej się na tych dwóch przeciwległych biegunach, stosunki, zaprowadzone w szkolnictwie ludowem przez ową nowellę, istniały lat dwadzieścia i dopiero w październiku 1894 r. radykalne zaszły zmiany, przygotowane namiętną agitacją sfer klerykalnych, dzięki którym w nowoobranym w owym roku School-Board'zie utworzyły się dwa wrogie sobie stronnictwa.

Stosunki, panujące obecnie w tej radzie szkolnej, zapoczątkował ksiądz katolicki Coxhead, pomieściwszy w czasopiśmie »Guardian« (»Stróż«) wrażenia swoje, pozbierane w dziedzinie wychowania religijnego w szkołach ludowych. »Odwiedziłem dziś rano« — pisał ks. Coxhead — jedną z takich szkół podczas wykładu religji. W pierwszej klasie następujące usłyszałem pytania: Jak się nazywała matka Jezusa? Jak się nazywał jego ojciec? Na drugie z tych pytań odrzekły wszystkie dzieci: Józef. Nauczyciel nie powiedział ani jednego słowa, któreby zaznaczało boską naturę i boskie pochodzenie Zbawiciela«. Z powodu powyższej notatki dwaj klerykalni członkowie School-Board'u, Riley i Davies, zażądali, aby w publicznych, ludowych szkołach londyńskich zaprowadzono wykład o bóstwie Chrystusa i o Trójcy Św, natomiast liberał Copeland Bowie walczył o zasadę pozostawienia nauczycielom najzupełniejszej swobody pod względem nauki religji, nie sprzeciwiając się atoli, aby i nadal nauka ta opierała się na biblji.

W łonie Rady powstało zatem rozdwojenie: wniosek Riley'a przeszedł 23 lutego 1893, wskutek czego Copeland Bowie rezolucję swoją cofnął, ustępując miejsca wnioskowi przyjaciela swego, Lyulpha Stanley'a, stawiającego rzecz na stanowisku przyjętej przez pierwszy School-Board ustawy z r. 1871. Niebawem jednak, bo we wrześniu 1893 wystąpił prezydent rady, klerykał Diggle, przeciw dotychczasowej polityce szkolnej, a namiętna mowa jego była zarzewiem, rzuconem pomiędzy pozornie tylko uspokojone dwa wrogie obozy. Z sali obrad School-Board'u przeniosła się agitacja na ulicę i coraz to liczniejsze zaczęła w wir swój porywać tłumy. Na dane przez Diggle'a hasło katoliccy mieszkańcy Londynu przedłożyli zimą 1893—1894 Izbie gmin petycję, zaopatrzoną w tysiące podpisów, w której stanowczemi zapowiedzieli słowy, że żadna siła nie zmusi ich do posyłania dzieci swoich do szkół, nie posiadających cechy katolickiej, a równocześnie domagali się, aby rząd utrzymywał lub przynajmniej subwencjonował ich szkoły wyznaniowe.

Tymczasem w łonie School'Boardu wrzało dalej: zwolennicy Diggle'a przeprowadzili w subkomitecie rady, mimo opozycji Lyulpha Stanleya i jego stronników, uchwałę, zmieniającą dotychczasowe rozporządzenie w ten sposób, że do wyrazów: „Nauka religji i moralności" dodano przymiotnik »chrześcijańskiej«, nauczycielom zaś polecono dać pisemne wskazówki, zawierające życzenia School Board'u, jak nauka religji ma być wykładaną. We wskazówkach tych znajdował się pomiędzy innemi zasadniczy ustęp, który określał chrześcijański, wyznaniowy charakter wykładu. Nauczyciele — opiewa wzmiankowany ustęp — powinni objaśniać uczniów o ich stosunku do Boga Ojca, jako Stwórcy, do Boga Syna, jako Odkupiciela i do Boga Ducha św., jako zlewającego łaskę uświęcającą.

Stanąwszy na tem czysto dogmatycznem stanowisku, wypowiada zwyciężony przez stronnictwo katolickie School-Board zasadę, która potępiała dotychczasowy charakter nauczania, jako zaprzeczający bóstwu Zbawiciela, lub nie pozostawiający w umyśle dziecka wrażenia, że wiara w Zbawiciela jest jego najpierwszym obowiązkiem (D. n.).

Rozbiory i sprawozdania.

Die europäische Gefahr von Quidam — broszura dużej ósemki, wydana w Monachium z jaskrawem na czele hasłem: »sensacyjna nowość,« w jaskrawej okładce, jest jednym z zajmujących objawów coraz natarczywszej reakcji Niemiec przeciw Prusom. Anonim zawarł w tej o 32 stronicach, rozprawie politycznej tak jaskrawe prawdy i nieprawdy — jak jaskrawą jest zewnętrzna postać tej pracy.

Wykazuje błędną i brutalną politykę Bismarka, który, jako syn wendyjskiej słowiańskiej rodziny, dążył jedynie do zbudowania wielkości i hegemonji Prus kosztem Niemiec, które poniżył i zamknął je między dwoma śmiertelnymi wrogami, Rosją i Francją. Poco się rzucił na Francję, która przez 45 lat nie zaczepiała Niemców? Była to taka sama brutalność, jak w r. 1792, przez którą także Prusy ściągnęły na Niemcy najazd Napoleona,

W Europie tymczasem maszeruje — według autora — zwarta falanga plemion słowiańskich ku zachodowi i zdobywa coraz większy teren. Wobec tego szturmu Niemcy są bezwładne, bo czuwają nad przegermanizowaniem miljona Alzatczyków. Zamiast czuwać, żeby »barbarzyńcy wschodu«, Słowianie, nie czynili zdobyczy kosztem cywilizacji — Bismark zapoznając ducha czasu, uderzył na wyższy, niezbędny żywioł romański, jakby chciał zadać cios cywilizacji. Robił to niby dla zjednoczenia Niemiec, a zrobił w istocie dla steroryzowania ich przez Prusy, które nie są jeszcze do szpiku żywiołem kulturnym. Pozbawił Niemców austrjackich opieki. Dziś żywioł słowiański wypiera Niemców i Włochów od południa i tak samo ciśnie od wschodu północnego. Smutno autorowi, że, jak mówi, »najpodrzędniejsza, najbrzydsza z ras europejskich, słowiańska« zaczyna być wszędzie górą. Bo — mówi, był to jeno szczwany dyplomata, ale nie wielki mąż stanu. Potrafił ku Niemcom rozognić nienawiść, nie umiejąc wewnątrz uporać się z Polakami.

Przypomniawszy sobie o Polakach, tak się odzywa: »Ów niczem innem, jeno chciwością zaboru, spowodowany rozbiór Polski, która lubo sama słowiańska, mogła atoli służyć poniekąd za tamę chciwości bezdennej moskwicyzmu (Moskowiterthum) — zemści się jeszcze kiedyś dotkliwie na uczestnikach rozbioru, a w pierwszym rzędzie na nas, Niemcach. — Jeśli bowiem z czasem przeważy solidarność słowiańska — to i oni — jedyni dziś wrogo ku moskwicyzmowi usposobieni — pójdą wówczas przeciwko nam i na nas«.

Przytoczywszy dalej mnóstwo objawów ruchu obudzonych plemion słowiańskich, ostrzega, że niebezpieczeństwo grozi Niemcom nie od zachodu Europy. Pod koniec wraca jeszcze raz do polityki Bismarka, jako do sprawcy wszystkiego złego i zapytuje: »Azaliż stan dzisiejszych Niemiec jest naturalny? Czy nie podnosi się we wszystkich dzielnicach Niemiec reakcja i protest, że jeden z najniżej stojących narodów (Prusy), który odznaczył się jedynie przewództwem w kilku szczęśliwych wojnach - odważa się resztę mieszkańców spychać na plan drugi? Długoż będziemy wyzyskiwani?“

Przegląd pism.

Głos tygodnik literacko-społeczno-polityczny. Warszawa 1896. Nr. 9—12.

Wytrwała dążność do odzwierciedlania życia społecznego, niezmierna skrupulatność w notowaniu wszelkich przejawów tego życia, rozwijającego się w warunkach trudnych i uniemożliwiających prawie jakąkolwiek samodzielność, sumienne zdawanie sprawy z ruchu umysłowego krajowego i zagranicznego ze szczególnem uwzględnieniem każdej myśli postępowej, a wreszcie bardzo starannie prowadzony dział beletrystyczny — oto charakterystyczne cechy, oto wytyczne jednego z najpoważniejszych tygodników warszawskich, którego redaktorem jest T: Strzembosz, a działem literackim kieruje Zygmunt Wasilewski, znany na polu etnografji z szpalt i wydawnictw *Wisły*. — Pierwszemu z wyżej wymienionych celów czyni zadość artykuł p. M. C. o żydach, jako przedstawicielach własności większej w gub. płockiej, gdzie obecnie posiadają 39 majątków w 42.563 morgów z ogólnej liczby 632.808 — dalej artykuły Z. Wasilewskiego, który stara się o zgłębienie przyczyn powstawania band opryszków w gub. kieleckiej i zajmuje się sprawą mieszkań dla robotników, którą poruszyli w osobnej broszurze lekarze warsz. Tchórznicki Wojnicz i jednocześnie budowniczy Rogójski w warsz. tow. popierania przemysłu i handlu — B. K. Świdy o kredycie włościańskim i p. Ł. Wł o Tow. osad rolnych. Temu celowi odpowiada także bogaty dział korespondencji »z różnych stron« (z Łodzi, Kijowa, Mińska, Radomia etc.), które obok znaczenia, jako informacyjne, mają także niepoślednią wartość, jako za świeża gromadzony surowy materjał do poznania wewnętrznych stosunków części Polski pod zaborem rosyjskim. — Cel drugi spełnia artykuł p. Jozafata Nowińskiego, który silnymi argumentami miażdży starcze rozumowania »schyłkowego wroga nauki« p. Jeske Choińskiego (Bankructwo rozumu Nr. 9.), dalej uwagi dra Zofji Daszyńskiej o dziele C. Bouglé'a: *Les sciences sociales en Allemagne. Les methodes actuelles* (Paryż 1896) — rozpoczęte dopiero listy »ze Słowiańszczyzny« L. Wasilewskiego oraz rozprawa Jerzego Grota również nieskończona dotychczas p. t. *Najmłodsi.* Jestto rzecz pisana z powodu książki Chmielowskiego o poetach współczesnych. Poprzednio (nr. 6 i 7) pomieścił był w *Głosie* kilka uwag »o poezji współczesnej« autor »Pogrzebu Shelley'a«, przekładów Baudelaire'a i świeżo wydanego tomu poezji (Kraków 1896) A. Lange. Redakcja *Głosu* po wyznaniach poety zamieszcza sądy krytyka, który dotąd poświęcił kilkaset wierszy druku tym, których poezja, zewnętrzny wyraz wewnętrznego nastroju, nie jest wyrazem wiernym. W następnych częściach rozprawy zamierza p. Grot uwydatnić w poezji »najmłodszych« wszystko »żywotne, samoistne, dzielne«.

W dziale belestrycznym spotykamy opowiadanie Żeromskiego „O żołnierzu tułaczu“ dotąd nieskończone. Z poezji jest w nrze 11. Or-ota „Pan Johan“ ustęp ze „Starego miasta“ poematu, czy też, jak się zdaje, zbioru wierszy, którego wyjątki znamy z nieistniejącego już dziś krakowskiego *Świata.* — Każdy numer *Głosu* ma nadto treściwą kronikę ekonomiczną, pełną materjału cyfrowego, rubrykę zapisek p. t. *Głosy*, kroniką artystyczno-literacką, którą prócz drobnych notatek, wypełniają mniejsze i większe recenzje, wreszcie „na widowni“, fejleton warszawski pióra Jana Weznakiego. Z Galicji prócz gruntownych listów Raźmiaka, z których ostatni omawia kwestję emigracji, są częste korespondencje z Krakowa (Zawisza) i Lwowa. Rzadsze z Poznania. Na wzmiankę zasługuje kącik przeznaczony „błędom językowym“. W każdym nrze zwraca *Głos* uwagę na jakieś niewłaściwie używane wyrażenie i tłumaczy, jak zastąpić je bardziej odpowiadającem duchowi języka polskiego. Tam, gdzie wobec języka obcego w szkole, ojczysty może ulegać powolnemu zepsuciu, rubryka to ważna.

J. A. Sierpniak.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.